

EDELWEISS 1943



piSMOK
Edelweiss Blatt

ROZDZIAŁ VII

PARALIŻ I ECHA UNIESIENIA

18 grudnia 1943

Zdażyłem się już przyzwyczaić do widoku i dźwięku ciężarówek przyjeżdżających z rannymi i chorymi. Człowiek chyba może przywyknąć się do wszystkiego. Do huku. Do smrodu krwi. Do jęków. Do tego charakterystycznego pisku hamulców przed bramą, który oznacza, że kończy się sielanka, a zaczyna prawdziwe życie. I walka o nie.

Codziennie, raz, czasem dwa razy, pojawiają się przed posterunkiem. Wyładowują rannych, czasem też trochę zapasów leków, jakby chcieli dać nam motywację.. Potem odjeżdżają. Zostawiają nam ludzi w strzępach - gorączka, kaszel, ropiejące rany. Któryś ma szczęście i pocisk przeszedł na wylot. Innemu odłamki poszarpały nogi i pewnie będziemy musieli je amputować. Ostatnio jeden z rannych usilnie próbował wcisnąć sobie z powrotem jelita, które mu wypadły po wybuchu.

W tym momencie do akcji wkraczają Mini i Milligan. Szybka ocena przywiezionych pacjentów, kto ma szansę, kto potrzebuje stołu natychmiast, kto może poczekać, a komu powinniśmy ulżyć ciosem łaski. My nazywamy to triażem. Cywile nazwaliby to barbarzyństwem albo selekcją, zależnie od tego, jak blisko są związani z człowiekiem, którego akurat ktoś odkłada na bok. Wojna nie lubi jednak czułych nazw. Wojna lubi decyzje szybkie, brudne i skuteczne.



Pani Gorące Wargi pcha się wszędzie, jakby samo bycie dowódcą nie wystarczało jej do zaznaczenia obecności. Niby służyła w *Sanitätsdienst*, ale coraz częściej dochodzę do wniosku, że jeśli jej stamtąd nie wyrzucili, to wyłącznie przez wzgląd na rodzinę, nazwisko albo wejście do czyjegoś łóżka.

Jak na dowódcę szpitala polowego, w momentach krytycznych traci werwę. Nie w jakiś spektakularny, melodramatyczny sposób. Nie zaczyna się trząść, nie panikuje, nie łapie za głowę jak bohaterka z kiepskiego przedstawienia. Nie. U niej wygląda to gorzej, bo subtelniej. Zawiesza się. Na kilka sekund odpływa, jakby ktoś wyłączył jej mózg dokładnie w chwili, kiedy najbardziej trzeba działać. A potem pada to magiczne:

– Stein, przejmij pacjenta.

Szkoda tylko, że ja zwykle w tym samym czasie mam już innego na stole.

Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie chodziło o ludzkie życie. Ale tak właśnie wygląda nasza rzeczywistość. Jedni mają tytuły, inni mają ręce, które faktycznie muszą robić robotę. Margarete najwyraźniej należy do pierwszej kategorii. Tylko że tytuły nie tamują krwotoków.

Za to swojej słynnej łózkowej werwy nie straciła ani trochę. Milligan już od wczoraj odwiedza jej sypialnię. Posterunek oczywiście wszystko widzi, wszystko słyszy. Przy okazji sąsiadka zza ściany, Rolfine, narzeka na jęki do świtu. Nie wnika, czy bardziej przeszkadza jej hałas, czy sama świadomość, że ściana oddziela ją od takiego widowiska. W każdym razie pani *Heisse Lippien* najwyraźniej nie tylko nie wyciągnęła wniosków z poprzedniej kompromitacji, ale być może uznała ją za początek legendy, którą należy pielęgnować.

Pułkownik Grincheux odjechał. Ku naszemu rozczarowaniu, bo trzeba przyznać, był z niego dobry towarzysz. Człowiek z gatunku tych, którzy chociaż mówią w dziwnym języku, potrafią przynajmniej pić, śmiać się i opowiadać historie z odpowiednim wyczuciem absurdu. Oczywiście jego wyjazd nastąpił również ku

wyraźnej radości Margarete, która zapewne wolałaby już nigdy więcej nie oglądać nikogo, kto zna określenie „Gorące Wargi” z pierwszej ręki.

Mieliśmy dzisiaj pokazać major niespodziankę, którą Porter przygotował z mojej delikatnej zachęty. Byłem wręcz dumny z tej małej inicjatywy. Czasem człowiek potrzebuje czegoś więcej niż bandaży i alkoholu. Potrzebuje także drobnej zemsty j. Ale oczywiście los, jak zwykle czujny, uznał, że byłoby zbyt przyjemnie, gdyby wieczór potoczył się zgodnie z planem.

Napatoczyli się goście z Voxlandu.



Wpadli pod nasz ogień maszynowy i w jednej chwili zamiast wieczornej zabawy kosztem Heiligchan dostałem pełne więzienie rannych jeńców. Tak właśnie działa Kanzelpass. Człowiek przez moment ma nadzieję na odrobinę satysfakcji, może nawet śmiechu, a zaraz potem łąduje po łokcie we krwi ludzi, którzy jeszcze godzinę wcześniej chcieli go zabić. Ostatecznie i tak kończy się na tym samym: oni na pryczach, ja przy stole, a noc znowu przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Piszę ten wpis w przerwie na późną kolację. Albo wczesne śniadanie. Sam już nie wiem. Za oknem zaczyna świtać, a ja dopiero wyszedłem z ostatniej operacji. W takich chwilach człowiek przestaje mierzyć czas według zegarka. Liczy go raczej kolejnymi cięciami, kolejnymi zszyciami, kolejnymi miskami z brudną wodą i tym momentem, kiedy nagle odkrywa, że ręce bolą go bardziej niż sumienie.

Świt nad Kanzelpass ma w sobie coś szczególnie bezczelnego. Przychodzi zawsze tak samo, jakby nic się nie stało. Jakby noc nie była pełna krwi, potu, wrzasków i tej całej wojennej jatki, którą potem trzeba sprzątać w ciszy. Światło wlewa się przez okna i udaje, że zaczyna się nowy dzień. A ja siedzę z zimnym jedzeniem przed sobą i mam wrażenie, że poprzedni wcale się jeszcze nie skończył.

20 grudnia 1943

Święta coraz bliżej. Szkoda tylko, że tutaj akurat zaczyna się pora deszczowa. Jak tak dalej pójdzie, to śnieżyce dostaniemy na Wielkanoc, a choinki będziemy stroić w błocie po kostki. Wojna i pogoda mają zresztą jedną wspólną cechę: obie z uporem wybierają najgorszy możliwy moment, żeby dać o sobie znać.

Besson i Bescond wzięli ostatnio ślub. W naszym bunkrze modlitewnym, rzecz jasna. *Der Andachtsbunker* najwyraźniej rozwija się w kierunku instytucji pełnoprawnej. Ceremonia była jak każda inna, a może właśnie przez to jakoś bardziej przejmująca. Kilka słów, kilka spojrzeń, to chwilowe udawanie normalności, kiedy w każdym momencie wojna może o sobie przypomnieć. W oczach Anny widziałem jednak coś więcej. Patrzyła na nich tak, jak człowiek patrzy na życie, które chciałby mieć, ale które uparcie stoi zawsze o krok za daleko.

Tylko kiedy niby mielibyśmy stanąć tam na ich miejscu?

Ja musiałem wyjść w połowie ceremonii, bo jednej z pacjentek się pogorszyło. Tyle z romantyzmu w Kanzelpass. Nie mam czasu spokojnie uczestniczyć w czyimś ślubie,

a co dopiero wygospodarować termin na własny. Człowiek nawet nie ma kiedy pomyśleć o wspólnej przyszłości, bo terażniejszość co chwila łapie go za gardło i przypomina, że tutaj wszystko jest pilniejsze od uczuć.

Margarete nie protestowała przeciwko naszym „cywilnym” zwyczajom. Co więcej, od dwóch dni stara się nas unikać. I bardzo dobrze. Odkąd pokazaliśmy jej nasz prezent, wyraźnie straciła rezon.

Na placu apelowym Porter wykuł rzeźbę. W kształcie ust. Dużych, beczelnych i niemożliwych do pomylenia z czymkolwiek innym. A na nich umieściliśmy piękną granitową tabliczkę z napisem: „Pomysł, przyznaję z nieskrywaną satysfakcją, był mój. Wykonanie należało do młodego. Wspólne dzieło sztuki frontowej, można powiedzieć. Jedno z tych niewielu przedsięwzięć, które nie wymagały bandaży, rozkazów ani worków na zwłoki.

Heiligchan się... załamała, kiedy jej to pokazaliśmy.

Naprawdę spodziewałem się czegoś innego. Tyrady. Gróźb. Straszenia raportami, sądem polowym, obrazą munduru i wszelkimi możliwymi paragrafami, które można wydobyć z wojskowego regulaminu przeciwko ludziom mającym poczucie humoru. Ale nie. Ona po prostu poczerwieniała, zamarła na moment, a potem zamknęła się do końca dnia w swoim pokoju. I chyba właśnie to było w tym najzabawniejsze. Nie gniew. Nie wrzask.



Tylko ta czysta, bezradna świadomość, że przezwisko już od niej nie odpadnie. Że przyłgnęło na dobre. Jak błoto do butów. Albo reputacja do nazwiska.

Od wczoraj jest nas o jedną osobę więcej. Camila Deror. I tyle właściwie o niej wiemy. Ona sama wiedziała jeszcze mniej. Gdyby nie nieśmiertelniki, nawet imienia byśmy nie poznali. Przywędrowała do nas naga, z raną głowy, jakby wojna wypłuła ją z siebie i rzuciła nam pod bramę bez żadnego wyjaśnienia. Opatrzyliśmy ją. Zrobiliśmy to, co zawsze robimy: zakleiliśmy, oczyściliśmy, spróbowaliśmy przywrócić człowieka do stanu, w którym znowu można zadawać mu pytania.

Tylko że ona nie miała odpowiedzi.



– Jak przyjedzie transport medyczny, to ją odeślemy – stwierdził Roth, kiedy przypałał się do szpitala.

Ostatnio ewidentnie wrócił do swojego dawnego ja, czyli do formy upierdliwego wrzodu na tyłku. Najwyraźniej okres refleksji i milczenia już mu minął, a wraz z nim wszelka nadzieja, że może jednak stać go na odrobinę człowieczeństwa stosowania na nim gróźb.

– Gdzie ją odeślesz, baranie? – spytałem go wprost. – Ma amnezję. Może

jest nasza, może Sarmatką, a może przywędrowała tu z Leblandii. Nikt tego nie wie. Nawet ona tego nie wie!

Wyszedł, mrucząc coś pod nosem. Pewnie odmieniał „raport” i „donos” przez wszystkie przypadki. Roth zawsze wygląda tak, jakby świat był źle urządzone wyłącznie dlatego, że nikt nie przeczytał sto razy regulaminu tak jak on.

Ten wpis znowu piszę ze szpitala.

Tylko tym razem nie przy biurku, nie po operacji i nie nad zimnym jedzeniem.

Tym razem to ja leżę na łóżku, a *Frau Blau* krąży wokół mnie.

Tak, zostałem ranny.

Nie zdążyliśmy jeszcze ogarnąć poprzedniego poboju, a już znowu zwalili się nam na głowę Sarmaci. Tym razem dosłownie. Zrzut prosto w środek Kanzelpass. Noc, chaos, krzyki, sylwetki między budynkami i to uczucie kompletnego rozpadu porządku, kiedy nagle cała taktyka, plany, sektory ostrzału i wojskowe mądrości mogą iść się utopić. Trudno stosować podejście strategiczne, kiedy wróg biegnie ci między barakami w środku nocy, a ty ledwo odróżniasz cienie od ludzi.



Falk oberwał pierwszy. Na szczęście wyliże się z tego. Dość łatwe rany, zwłaszcza że ostatnio, o ironio, leków nam nie brakuje. W wojnie najwyraźniej nigdy nie można mieć wszystkiego naraz. Albo masz środki, albo masz chwilę spokoju. Jedno i drugie razem byłoby już chyba zbytkiem.

A potem dostałem ja.

Pamiętam tylko kilka sekund bólu. Krótkich, jasnych i brutalnych. Ten rodzaj bólu, który nie zostawia miejsca na filozofię. Potem ciemność. A potem szpital.

Dziwna to perspektywa dla mnie. Nienaturalna. Nie ja stoję nad pacjentem. Nie moje ręce coś robią. Nie mój głos wydaje polecenia. To ja leżę, patrzę w sufit i próbuję złożyć rzeczywistość z kawałków, które ktoś porzucił mi po głowie jak narzędzia po stole operacyjnym.

Anna stała nade mną.

Płakała.

Chwilę zajęło mi zrozumienie dlaczego. Najpierw próbowałem się ruszyć. Nogi mnie nie słuchały. Podciągnąłem się na łóżku. Nogi ciążyły jak obce przedmioty, jak coś przytroczonego do mnie przez pomyłkę. Zacząłem oddychać szybciej. Nie z bólu. Z tego innego powodu. Z tego, który pojawia się, gdy człowiek przeczuwa odpowiedź, ale jeszcze nie chce jej nazwać.

Musiałem zebrać myśli.

– Kręgosłup? – spytałem po dłuższej chwili.

Anna nie odpowiedziała. Jej łzy popłynęły mocniej. Przytuliła się do mnie, jakby samym tym gestem mogła zatrzymać wszystko, co już się wydarzyło. Chyba nie była w stanie wypowiedzieć tego słowa. Zresztą trudno jej się dziwić. Co innego

informować obcych ludzi, że coś zostało uszkodzone, że rokowanie jest takie albo inne, że trzeba czekać. A co innego powiedzieć to człowiekowi, którego się kocha.

Wtedy zauważyłem bandaż.

Na jej rękach. Na torsie.

Też dostała podczas ataku.

I mimo to, mimo że nosi nasze dziecko, nie odpoczywała. Nie oszczędzała się. Opiekowała się mną. Jakby z całego tego płonącego bałaganu najbardziej obchodziło ją właśnie to, czy ja oddycham, czy jestem przytomny, czy jeszcze jestem sobą.

To chyba zabolalo bardziej niż sama rana.

Bo w takich chwilach człowiek nagle widzi z całą brutalną ostrością, ile znaczy dla drugiej osoby. I jak niewiele może jej dać w zamian, jeśli los postanowił właśnie odciąć mu przyszłość na wysokości kręgosłupa.

– Wracaj do łóżka – powiedziałem swoim lekarskim stylem. – Mi już nie pomożesz. Zadbaj o dziecko i o siebie.

Nic nie odpowiedziała. Spojrzała na mnie ze złością, taką cichą, szczerą, prawdziwą. Potem odeszła.

Może i tak będzie lepiej.

Może właśnie tak powinno być. Niedługo zostanie matką. A kaleka, kula u nogi, facet przykuty do łóżka nie jest jej do niczego potrzebny. Nawet jeśli brzmi to podle,



nawet jeśli brzmi jak tchórzostwo ubrane w rozsądek, nie umiem teraz myśleć inaczej. Całe życie łątałem innych. Widziałem, co zostaje z ludzi, kiedy coś w nich pęknie na dobre. Wiem, jak wygląda dalszy ciąg. Wiem, ile w nim upokorzenia, zależności i tego szczególnego rodzaju ciszy, w której człowiek już nie prosi o wiele, tylko o to, żeby nie być ciężarem.

Najgorsze jest chyba to, że nie boję się nawet bólu.

Na bólu się znam. Ból można znieść, zmierzyć, nazwać, zagłuszyć albo przeczekać.

Boję się tego, co przyjdzie po nim.

Tego, że jeszcze niedawno biegałem od stołu do stołu, ratowałem ludzi, kłóciłem się, szydziłem, żyłem w tym całym obrzydliwym rytmie Kanzelpass, a teraz nagle mogę zostać sprowadzony do roli leżącego problemu, którego inni będą musieli obchodzić, obracać, dźwigać i pocieszać.

Piękny prezent na święta.

22 grudnia 1943

Dostałem wózek.

Ironia losu ma jednak wycucie. Zawsze marzyłem o własnych czterech kółkach. Miałem nawet taki całkiem przyzwoity plan: jeśli klinika kiedyś dobrze się rozkręci, jeśli zacznę zarabiać jak człowiek, a nie jak frontowy rzemieślnik od łątania mięsa, to sprawię sobie porządne auto. Jakiś *Schluchtwagen*, błyszczący, porządny, może nawet z klasą. No i proszę. Marzenie spełnione. Mam swoje cztery kółka. Szkoda tylko, że zamiast eleganckiego samochodu dostałem produkt z *Geschützte Werkstatt in Freiwald* i że nie służy do podróżowania, tylko do przypominania mi, że od teraz mam się przemieszczać na siedząco.

Człowiek powinien uważać, o czym marzy. Los uwielbia spełniać życzenia. Szkoda, że w inny sposób niż sobie to wyobraziliśmy.

Ja sobie tymczasem kulturalnie gniję w łóżku szpitalnym, próbując przywyknąć do nowego układu sił między mną a resztą mojego ciała, a w kuchni wybuchł pożar. Fuchs próbował podłączyć kolejną lodówkę na przedłużaczu i, ku zaskoczeniu absolutnie nikogo, doszło do zwarcia. Na szczęście udało się go opanować. Pożar, rzecz jasna, nie Fuchsa, bo ten nadal pozostaje żywym dowodem na to, że techniczna niekompetencja może przeżyć naprawdę wiele. Straty nie były wielkie: jedna nowa lodówka, trochę ścian do malowania i kolejny wpis do kroniki naszych codziennych zwycięstw nad cywilizacją.

Nasza grupa znowu się powiększyła. Przypałał się do nas piętnastolatek, Fabian Asketil. Dzieciak zwiął z KSZ.

– Nie do końca pasowało mi ich wojsko – odpowiedział, kiedy zapytaliśmy, czemu uciekł.

Brzmiało to mniej więcej tak wiarygodnie, jakby ktoś z zakrwawionym nożem tłumaczył, że właśnie skończył kroić chleb. Ewidentnie coś ukrywał. Zwłaszcza że uciekł w pełnym rynsztunku, a jego mundur był zakrwawiony. Tyle że Kanzelpass od dawna ma słabość do ludzi wyrzuconych z toru, połamanych, porzuconych albo niepasujących do reszty świata. Takich przyciągamy chyba naturalnie. Albo wojna po prostu zwozi nam ich pod bramę jak dziwaczny dar losu.

– Czy my się ze szpitala polowego zmieniliśmy w przedszkole?! – warknęła Heiligchan, kiedy Weisman przyszedł ją poinformować, że mamy nowego. – Do tego Sarmata! A skąd wiecie, że nie jest to szpieg?!

Weisman tylko się uśmiechnął. Tą swoją szyderczą, leniwą miną człowieka, który już wie, że za chwilę wbije komuś szpilę i jeszcze będzie miał z tego przyjemność.

– Prawdziwy oficer to od razu wyczuje – odparł i wyszedł.

Trzeba przyznać, że Margarete nie mogła gorzej trafić ze swoim zastępcą. Za to adiutanta dobrała idealnie. Roth pasuje do niej wręcz wzorcowo. Naprawdę dziwię się, że od tego nieustannego włożenia jej w tyłek nie zrobił się jeszcze całkiem brązowy. Niedługo przyznają mu odznaczenie za służbę blisko przełożonego.

Jak tylko wyszedłem... to znaczy wyjechałem ze szpitala, od razu dopadł mnie właśnie on. Oczywiście. Sęp zawsze wyczuje moment, kiedy ofiara jest akurat unieruchomiona.

– Pragnę poinformować, że wniosek o twoje zwolnienie ze służby został przekazany do sztabu. Możesz się powoli pakować i żegnać.

Ostatnie słowo wypowiedział z taką satysfakcją, jakby właśnie osobiście wygrał wojnę, uzdrowił kontynent i jeszcze przy okazji pozbył się swędzenia na przyrodzeniu. Patrzył na mnie z tą swoją paskudną radością człowieka przekonanego, że właśnie zobaczył cudzą klęskę i może się nią spokojnie nacieszyć.



Przyznam, przez chwilę nawet mu uwierzyłem. Że to koniec. Że wyślą mnie do cywila. Że spiszą mnie z frontowej listy użytecznych narzędzi i odstawiają na bok, najlepiej z pieczętką i krótkim, bezdusznym uzasadnieniem. Może i jakiś medal przypną.

A potem przyszła chwila jeszcze lepsza.

Podsluchiwaaliśmy rozmowę Heiligchan i Rotha z dowództwem. Miny mieli nietęgę już od początku, więc przeczuwałem, że zapowiada się coś przyjemnego. I nie zawiodłem się.

– NIE PODPISZĘ TEGO WNIOSKU! – ryknął ktoś ze sztabu tak głośno, że Roth aż podskoczył.

To było piękne. Czyste, nieskażone piękno wojskowej furii. Ten rodzaj gniewu, który potrafi przejść przez słuchawkę, kable i pół kontynentu tylko po to, żeby dotrzeć dokładnie tam, gdzie trzeba.

– Ale panie pułkowniku, on jest przykuty do wózka... – próbowała wyjaśnić Margarete.

– RĘCE MA SPRAWNE?!

– No tak...

– NO TO NIECH WSKAKUJE NA WÓZEK I ZAPIEPRZA W SZPITALU!

Margarete jeszcze próbowała:

– Ale...

– Żadnych ale! Ty myślisz, że ja mam magazyn zapasowych chirurgów?! To jest jedyny prawdziwy lekarz w tym waszym burdelu i nie odeślę go z byle powodu do cywila!

I w ten sposób zostałem oficjalnie uznany za zbyt cenny, by się mnie pozbyć, i jednocześnie zbyt sprawny, by wzbudzać litość. Cudowny moment. Wojsko w swojej esencji. Możesz stracić władzę w nogach, ale dopóki ręce działają, jesteś sprzętem nadal zdatnym do użytku.



Czyli zostaje.

Jeszcze trzy miesiące temu pewnie bym z tej decyzji klął, może nawet naprawdę załamał ręce. Dzisiaj? Poczuję ulgę. I to chyba najbardziej niepokojąca rzecz w całej tej historii. Bo znaczy, że Kanzelpass naprawdę zdążyło stać się czymś więcej niż przydziałem. Nie chciałbym teraz zostawiać tego wszystkiego. Tych ludzi, tego chaosu, tych codziennych katastrof zszywanych prowizorycznie do kupy. Nie chciałbym też zostawiać Vogel.

I może właśnie to boli bardziej niż sam wózek. Że wciąż jestem tutaj tak mocno przywiązany do tego miejsca, choć powinienem marzyć wyłącznie o tym, by się z niego wydostać.

Z drugiej strony, jeśli utrata władzy w nogach jest dla dowództwa „byle powodem”, to zaczynam się poważnie obawiać, że nawet po śmierci kazaliby ustawić

moją trumnę gdzieś w kącie szpitala. Tak, żeby chociaż duchowo czuwał nad operacjami. Może jeszcze podpisałiby ją „rezerwa kadrowa”.

24 grudnia 1943



Przy wczorajszym śniadaniu doszliśmy wspólnie do wniosku, że stół do pokera i kilka książek to jednak trochę marne zaplecze socjalne, nawet jak na nasze standardy. Można przy tym siedzieć, można się kłócić, można przegrywać papierosy i resztki godności, ale trudno udawać, że człowiek ma dzięki temu jakąś namiastkę normalnego życia. Przydałaby się kantyna z prawdziwego zdarzenia. Taka, w której da się nie tylko pić i gadać, ale też przez chwilę poczuć, że świat nie składa się wyłącznie z

rannych, alarmów i rozkazów.

– Może od razu burdel wam zbudować?! – obruszyła się Heiligchan, kiedy przedstawiliśmy jej pomysł.

– Niestety, do tego jedne gorące wargi to za mało – skwitował Quint.

Tym razem ubiegł mnie o ułamek sekundy, bo dokładnie to samo przemknęło mi przez głowę. Margarete znowu spaliła buraka tak widowiskowo, że przez moment aż szkoda mi się jej zrobiło. Prawie. Temat oczywiście natychmiast się urwał, co uznaliśmy za milczącą zgodę. Zresztą i tak nie mieliśmy zamiaru jej uzyskiwać. W chwili, gdy trwała jeszcze nasza rozmowa, ekipa budowlana już szykowała nowy budynek. Chcieliśmy tylko postawić panią major przed faktem dokonany, bo to w gruncie rzeczy najskuteczniejsza metoda współpracy z nią.

Ogólnie ostatnio było spokojnie. Dwójka pacjentów, żadnych ataków, cisza tak nietypowa, że aż podejrzana. Najwyraźniej świąteczna atmosfera udzieliła się nie tylko nam, ale i całemu frontowi. Nawet wojna najwyraźniej czasem bierze głębszy oddech, żeby potem z podwójną siłą przypomnieć, że nie zasnęła na dobre.

Moser wyszła rano na rekonesans i wróciła ciężarówką.

Przywiozła kilka choinek, telewizor i radio.

– No co? – zdziwiła się, widząc nasze miny. – Jutro Wigilia. A kantyna potrzebuje wyposażenia.

Po czym zaczęła z zupełnym spokojem wyładowywać swoje łupy, jakby wożenie świąt na pace ciężarówki było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Klara jest zawsze dwa kroki przed nami. Zanim pomyślimy, że coś mogłoby się przydać, ona już to ma, zna drogę, wie skąd wziąć i pewnie jeszcze przy okazji coś wymieniła, coś ukradła, a coś dostała, bo ktoś nieopatrznie uznał, że może jej zaufać.

W sztabie sprawdziłaby się idealnie. Naprawdę. Wyobrażam to sobie aż za dobrze: „Panie generale, brakuje nam dwóch armii”, a godzinę później przyjeżdża Moser z trzema armiami i dywizją pancerną dorzuconą gratis. Gdyby wojna opierała się wyłącznie na improwizacji, bezczelności i talencie do organizowania rzeczy z niczego, już dawno byłoby po wszystkim.



Wigilia.

Moje pierwsze święta od... właściwie od czasów wyjazdu na studia, których nie spędziłem samotnie. Rodziców nigdy specjalnie nie ciągnęło mnie odwiedzać. A może to ja nie miałem siły wracać tam, gdzie i tak nigdy nie czułem się naprawdę potrzebny. Zresztą pewnie nawet nie zauważyli przez te wszystkie lata, że nie było mnie z nimi przy stole. Człowiek może być czyimś synem całe życie i nadal mieć wrażenie, że jego miejsce przy rodzinnej kolacji równie dobrze mogłoby pozostać puste bez większej różnicy.

Tutaj było inaczej.

Kolacja była naprawdę udana.

Prawie.

Oczywiście ktoś musiał dostać po pysku, bo inaczej nie byłoby to nasze świętowanie. Nasze wspólne spotkania kończą się jak wiejskie potańcówki: jedzeniem, alkoholem i mniej lub bardziej zasłużoną bójką. Tym razem padło na Siennę i Bootha, bo Seeley uznał, że może zacząć jeść, zanim wszyscy się zbiorą. Trzeba przyznać, że nawet nasze świąteczne skandale mają w sobie pewną swojską regularność. Gdyby ktoś kiedyś opisywał Kanzelpass z boku, zapewne wyszłoby mu, że jesteśmy osobliwym połączeniem lazaretu, domu wariatów i wielodzietnej rodziny, której nikt nie nauczył rozwiązywać sporów słowami.

Co jak co, ale Rolfine wspięła się tego wieczoru na wyżyny swoich zdolności kulinarnych. Na co dzień gotuje obłądnie, ale tym razem przeszła samą siebie. Naprawdę. Na kilka chwil człowiek mógł zapomnieć, gdzie jest. Smak jedzenia bywa czasem groźniejszy dla pamięci niż alkohol. Jedna dobra potrawa i nagle wraca coś dawno utraconego: dom, spokój, dzieciństwo, kuchnia, która nie pachnie strachem.

Musimy jednak pilnować, żeby wieść o talencie Rolfine nie poszła za daleko. Jeszcze nam ją podbiorą do sztabu albo, co gorsza, zrobią z nas oficjalną garkuchnię frontu. Tego byśmy chyba nie zniesli.

Żeby tradycji stało się zadość, odwiedził nas nawet zbłąkany wędrowiec.

A raczej odwiedziła.

– To jest BB – przedstawiła ją Moser.

Naprawdę nazywała się Betty Beetz. BB było tylko pseudonimem. Klara знаła ją już wcześniej, bo kilka razy brała mleko z ich wioski. I chyba nawet uczciwie płaciła, zamiast po prostu zwędzić to, co akurat było potrzebne, skoro nasz gość zdecydował się szukać schronienia właśnie u nas.

Jej wioska już nie istnieje.

Spalili ją.

Nie chciało mi się w to wierzyć, ale z jej opowieści wynikało, że zrobili to... nasi. Pijana kompania Landwehr uznała najwyraźniej, że osada przy granicy nadaje się idealnie do wyżycia się na niej. Wojna ma wiele twarzy, ale ta należy do najbardziej parszywych. Nie bohaterska. Nie tragiczna. Po prostu podła. Taka, której nie da się usprawiedliwić ani rozkazem, ani frontem, ani pomyłką. Zwykłe bydłectwo w mundurach.



I co mieliśmy zrobić? Wygnać ją? Odesłać z powrotem w noc, błoto i pustkę? Może i też służyliśmy w Landwehr, ale nie jesteśmy bydlakami jak niektórzy. Została z nami. Nawet major Lippien nie protestowała. Może faktycznie poruszyła ją ta historia. A może zwyczajnie była zajęta mizdrzeniem się w kącie z Milliganem. Jedno z dwojga. W przypadku Margarete nigdy nie mam pewności, czy właśnie zwycięża w niej człowiek, czy hormony.

Ja też postanowiłem się pomizdrzyć.

Vogel ostatnio mnie unikała. Miałem nadzieję, że to wina mojego wybuchu, a nie tego, że uznała, iż kaleka to jednak nie jest dodatek, jaki chciałyby mieć przy sobie na resztę życia. Na szczęście nie myliłem się. Widziałem to w jej spojrzeniu, w tym, jak nadal była blisko, tylko ostrożniej. Jakby czekała, aż przestanę sam siebie odpychać.

– Klara twierdzi, że to prawdziwe białe złoto. Mnie to chyba nie oszuka – zacząłem i wyjąłem zwitek papieru.

Pierścionek nie był może szczytem jubilerskiej sztuki. Wojna, o dziwo, nie sprzyja eleganckim zakupom. Ale był. Prawdziwy na tyle, na ile cokolwiek może być prawdziwe w takim miejscu.

– Frau Blau... Anno... Czy chcesz zostać panią Stein?

Święta to najbardziej sztampowy moment na oświadczeniu, jakie można sobie wyobrazić. Nawet mnie to nie umknęło. Gdyby życie było łaskawsze, pewnie wybrałbym coś mniej banalnego, mniej oczywistego, może trochę bardziej godnego opowieści. Ale u nas ostatnio to był jedyny spokojny czas. Jedyna chwila, którą dało się ukraść wojnie, zanim znowu wlezie z butami między ludzi.

I może właśnie dlatego ten moment wydawał mi się właściwy.

Bo w Kanzelpass nic nie będzie idealne.

Ale może właśnie dlatego, jeśli człowiek ma powiedzieć coś ważnego, powinien to zrobić wtedy, kiedy jeszcze może.

